

Marek Nowakowski

Syjniści do Syjamu



Zapiski
z lat 1967-1968

Świat Książki

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Współpraca redakcyjna
Krystyna Śliwa

Redaktor techniczny
Małgorzata Juźwik

Fotoedytor
Magdalena Krzyżosiak

Korekta
Elżbieta Jaroszuk

Copyright © by Bertelsmann Media, 2009

Świat Książki
Warszawa 2009

Świat Książki, Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Akces, Warszawa

Przygotowanie
Fabryka Wyobraźni
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-1948-8

Nr 45014

PODOBNO... – tak o życiu i sprawach Dworu mówi lud...

Bo nikt nie wierzy w tę hurraradosną i krzepką, i samochwalczą papkę z gazet, radia czy telewizji. I wokół każdej oficjalnej prawdy tak przedzie się nieprzerwanie siatka gęsta zakulisowych wieści, przecieków, przypuszczeń podawanych z ust do ust jak sztafetowa pałeczka.

PODOBNO to słowo anonimowe, tajemnicze, wielogłose, to ziarno tajne i uporczywe, grunt jest podatny, gotowy w ludzkich duszach, gleba zrodzona z niewiary i nieufności, oszukiwany od lat naród, skołowany i zagubiony, nie przestaje szukać własnej rozświecającej ten cały labirynt latarki.

W tych dniach, kiedy rządowa tuba huczała – Izrael agresorem! – krążyły po kraju dowcipy jak w latach okupacji, cichcem przekazywane,

przewrotne i zupełnie odmienne od stanowiska tych ze Dworu, znów odżył humor wolnych i sceptycznych ludzi, wybuchał samorodną eksplozją i poczuciem braterstwa.

– Już idą na Kair! – podawano szeptem. – Na Damaszek!

Satysfakcja z tego i poczucie wspólnoty z małym narodem na skrawku ziemi siedzącym, krwawo doświadczonym przez wojny i żarłocznych sąsiadów. Cieszył się stolarz z warsztatu na mojej ulicy, cieszył się stróż, kapuś i lizus, cieszył się dyrektor fabryki, gdzie pracuje mój przyjaciel, a karierowicz i antysemita przecież z tego dyrektora. Pili ludzie w knajpach pod Żydów, Żydków, Izraelczyków – różnie ich nazywano.

Z nietajoną satysfakcją (że ktoś w imieniu wielu to jednak powiedział) powtarzano słowa z kazania Kardynała o małym Dawidzie walczącym z Goliatem. I ci wszyscy ludzie na masówkach w fabrykach, biurach i ministerstwach zgodnie podnosili dłonie na znak aprobaty dla rezolucji potępiających Izrael, a gdy tylko ta oficjalna, niewolnicza konieczność została spełniona (żeby się nie narazić, żeby nie stracić posady, szansy na awans...), już za chwilę w luźnych, swobodnych prywatnych rozmowach cieszyli się z sukcesów małego kraju, ta cała brudna skóra masówek i rezolucji złaziła

z nich od razu, obca, nie ich przecież, z przymusu tylko nałożona.

Idzie ulicą junacki podpity rozrabiacz. Taki krok z kołysem, siła w nim niewyżyta po tej wódce aż kipi, chęć rozróby, szuka ofiary i pretekstu. Zobaczył milicjanta, podchodzi do niego, właściwie tak go obchodzi, chce zagadać, wyraźnie chce zagadać. Ten milicjant, zmęczony nocną służbą i niezły chłop chyba, udaje, że nie widzi natarczywego rozrabiacza.

– Nieźle, panie władzo, całkiem nieźle – zagaduje go jednak ten młody podpity junak.

– Co nieźle? – pyta milicjant.

– Idą do przodu.

– Kto? – dopytuje milicjant, ale już w jego oczach błysk zrozumienia.

– No, tak ogólnie... – mówi młody rozrabiacz. – Jedni do przodu i leją drugich, a miało być odwrotnie...

– Co odwrotnie? – docieka milicjant i jego twarz rozjaśnia się przyjaznym, naturalnym, z trudem maskowanym służbową miną uśmiechem.

– Żydy! – śmieje się donośnie młody rozrabiacz. – Poszły do przodu!

Zbierają się gapie. Milicjant sztywnieje oficjalnie.

– Idźcie spać – mówi surowo. – Jesteście, obywatelu, zmęczeni...

Młody rozrabiacz odchodzi. Ta chęć rozróby pękła w nim po tym porozumieniu prywatnym, utajonym z władzą.

PODOBNO... – mówią na imieninach u ciotki, na prywatce u Jasia, na wódce z kierownikiem, prezes do żony, konstruktor do konstruktora, frezer do kumpla, student do swojej dziewczyny...

PODOBNO tam na Dworze wcale nie jest tak niezbitcie i monolitycznie, jak to widać, tam ciągle frakcje, grupy, grupki, orientacje i orientacyjki, podgryzają się i przepychają, a na każde czyjeś potknięcie czekają jak sępy, jedni chcą drugich... drudzy trzecich. PODOBNO Najważniejszy zachwiany, nowi sposobią się do władzy, młodzi, PODOBNO bardzo pazerni, PODOBNO Boss Najważniejszy nieźle musi się gimnastykować, żeby się od tej chciwej zgrai następców opędzić, podchodzą go chytrze, rozmaitymi sposobami, dużo Bossowi pod nosem mocnych i konkurencyjnych wyrosło. Szef Porządku, aksamitny baryton, specjalista od poloneza zgody narodowej, szef kombatanckiego bractwa, powiększa PODOBNO swoje wpływy, aparat też ma w swoim ręku bardzo ważny, reklamę umie sobie nieźle robić i zdobyć popularność, młodzi się do niego garną, ale chyba małe szanse, bo to jednak głupio, żeby szef policji głową państwa został. Natomiast Boss



POPIERAMY! i POTĘPIAMY! – jedna z antysemitycznych demonstracji.

Fot. East News

Największej Prowincji dużo mocniejszy i popularność jego rośnie, PODOBNO miał oświadczyć, że wyciągnie kraj z ekonomicznego impasu, rządy technokratów proponuje, ale mało kto w realność naprawy wierzy, mało to razy różni już obiecywali i co z tego wyszło, Boss Najważniejszy też kiedyś tak mówił. PODOBNO Boss Trzeci i Boss Czwarty też się szykują, jeśli zaś chodzi o Piątego, to jego sytuacja mocno nadwątlona, nie umie grać w te ich warcaby, za prosty, za szczery, mówią, że i ludzkie porywy serca u niego bardzo się liczą, jasne, że taki tam na Dworze do niczego nie dojdzie...

I tak szu, szu, półgębkiem, z miną tajemniczą i skupioną, kolegę za rękaw, ucho do ucha, dziesiątki wariantów, konfiguracji i szarad.

PODOBNO zwolennicy tego, co zwał do Albanii, też grasują, też mają swoje sposoby i chwyt, przypominają robotnikom o czasach dawniejszych. Dowcip po mieście taki krąży: Czy wiecie, kto nocą pojawia się w Partyjnym Domu? Duch Bieruta, i trzyma w ręku pęto kiełbasy, kilo za szesnaście złotych. PODOBNO nocą w fabryce stróż odkrył plik wrogiej bibuły, napisane tam, że lud gnębi i wyzyskuje klika syjonistów i rewizjonistów, bo oni to niespokojne duchy, różne eksperymenty robią i człek pracujący tylko cierpi na tym, a ten mój znajomy, wysoki dostojnik – szepcze ktoś komuś –

po wódce się wygadał, będą duże zmiany – jakie? nie wiadomo... Tak krążą wieści i przypuszczenia, podskórnie, potajemnie, takie korytarze korników...

PODOBNO – jak ptaszydło wielogłose kra-
cze pod tą duszną, szczelną pokrywą. Oczy lu-
dzi czasem zabłyszczą ożywieniem, nadzieją, ale
na krótko tylko przychodzi ta chwila lekkości
i wiary.

Nagle ktoś z tą wieścią PODOBNO urwie
w pół słowa, zapatrzy się martwym, pustym
wzrokiem przed siebie, nadchodzi wtedy taka re-
fleksja mrożąca, świadomość bezsily, szamotani-
ny i bzdury; wzruszy ktoś wówczas ramionami,
spojrzy na zegarek, odejdzie zgaszony i jałowy...

Niech to będzie technik Stolarek... Niech to
zdarzy mu się w samoobsługowej knajpie pełnej
szyb, luster i ohydnych Picassów na ścianach,
oświetlonej trupimi jarzeniówkami. Pożegna się
technik Stolarek z kolegami, powlecze się zły
i zgorzkniały do domu. Może zdarzyć się rów-
nież, że technik Stolarek spije się zbyt mocno
i z rykiem wściekłym, bezsensownym pogna
w tłum.

– Odbiła mu szajba – ktoś stwierdzi obojętnie.

Wybiegnie technik Stolarek na ulicę, tam do-
sięgną go pały milicjantów, noc spędzi w izbie
wytrzeźwień: długa koszula, pasami przywiążą
do łóżka, rachunek za nocleg i rozróbę.

Wróci do domu technik Stolarek.

– Tyle pieniędzy zmarnowałeś – głos żony.

Więc trzeba tę idiotyczną stratę nadrobić, wziąć jakąś robótkę na boku, coś pokombinować...

Może to być inny Stolarek, na przykład inżynier młody, taki na dorobku inżynierek, ile to już lat na tym ciułaczym, chomikowatym dorobku. Żona młoda i ładna, w wysokich modnych butach i białych pończochach, przytulona do jego ramienia.

– Pa, Baśka.

– Cześć, stary!

I pójda sobie z tym PODOBNO – bezsilnym i jałowym.

Żona:

– Ta zastawa Jurka to jednak dużo lepszy i szykowniejszy wóz od naszego.

Młody inżynier:

– Hm...

Żona:

– I pomyśl, tą zastawą byli w Jugosławii, bardzo dobrze im się jechało.

Młody inżynier:

– Hm...

Żona:

– Bo syrenką jechać do Jugosławii to okropne... Nawet Włodkowie już zmienili swój wóz.

I będzie siedział młody inżynier nocami nad

projektami i kosztorysami, brał prace zlecone, jeszcze wykłady w szkole wieczorowej – wszystko na zastawę, na Jugosławię. Być może w trakcie tej pracy mozolnej i długoterminowej gdzieś w knajpie czy u przyjaciół wypije młody inżynier zbyt dużo i wybuchnie tym wściekłym bezsensownym wrzaskiem z głębi duszy (to PODOBNO tak go wytrąci z równowagi i rozjuszy), będzie tłukł kieliszki, będzie rwał się do bicia.

Zmęczone, zapiekłe w tej szamotaninie oczy. Jak w błysku magnezji to wszystko.

A później:

– Bardzo was przepraszam, zaszkodziło mi jakoś...

Kierat toczy się dalej, skrzypią szprychy, trzeszczą wiązadła, miarowo, rytmicznie, jak budowa piramid, dni, miesiące, lata...

Matka tej dziewczyny jest kobietą przeszło pięćdziesięcioletnią, spokojną i cichą, ale w jej oczach czai się zawsze jakiś strach. O swoim życiu podczas okupacji niechętnie opowiada. Kiedyś wspomniała córce, nastrój wieczoru to spowodował, święto umarłych, tłumy spieszące na cmentarz – o ojcu zakatowanym na jej oczach w obozie zagłady.

Innym znów razem, list wtedy przyszedł od jej siostry z Australii, opowiedziała, jak właśnie z siostrą wyprowadzały tę dziewczynę (wówczas dziecko dwuletnie) z getta, dziurą w murze, piwnicami, kanałami, na koniec trzeba było przeczołgać się przez goły placyk, dwadzieścia metrów, nie więcej, a pod murem żandarm miarowo spacerował i coś sobie podśpiewywał.

Ta sprawa z matką zaczęła się kilka dni po wybuchu wojny arabsko-izraelskiej. Radio grzmiało o tym nieustannie i w prasie też ukazało się mnóstwo artykułów oraz oświadczeń z powtarzającym się nowym określeniem – izraelski faszyzm... W biurze, gdzie pracowała matka, odbyła się również, jak wszędzie, masówka przeciw Izraelowi, było przemówienie i rezolucja, a podczas głosowania na rezolucję ludzie tak jakoś na matkę patrzyli. Ta dziewczyna, młody architekt, też boleśnie odczuła ów zły nastrój. Przychodząc do pracowni, patrzyła ukradkiem i obco na swoich kolegów pochyłonych nad rajzbretami, niepokoił ją śmiech z tyłu i szepty, garbiła się i przymykała oczy jak przed uderzeniem. Lepiej poczuła się dopiero wtedy, gdy Jacek, ten wesoły kumpel spod okna, zaprosił ją na kawę do bufetu i powiedział z naciskiem:

– Cieszę się tak jak ty, że oni się nie dali, na prawdę!

Oczy dziewczyny nadal były nieufne, podejrzliwe. Jacek uściśnął jej rękę i dodał:

– Nie wierzymy w to, co trąbią i piszą, daję słowo, przepraszam, że o tym mówię, ale w tej sytuacji to konieczne.

Był zmieszany, machinalnie łyżka za łyżką sypał cukier do kawy. Powstrzymała to jego nadmierne słodzenie. Roześmieli się. Już w milczeniu wypili kawę. A po powrocie z biura zastała matkę siedzącą nieruchomo przy stole. Jej wielkie oczy były jeszcze większe, rozszerzone jakimś napięciem.

Cisza w mieszkaniu, tylko słycać wodę monotonnie kapiącą z kranu. Ta cisza i bezruch matki również na nią podziały paraliżująco. Bezszelstnie, na palcach posuwała się do pokoju.

– Była pani Kornowa... – odezwała się wreszcie matka. – Na naszym cmentarzu zaczęli już rozbijać nagrobki...

Dziewczyna, nie słuchając dalszych słów matki, wybiegła z domu. Skróttem przez połączone podwórza i dziurą w murze dostała się na ten stary cmentarz. Cicho i pusto. Już zmierzch. Wysoki mur oddziela to miejsce umarłych od ruchliwych ulic. Chodziła cmentarnymi alejkami. Oglądała uważnie nagrobne kamienie. Dopiero przy bramie zauważyła wywrócony nagrobek, porytą ziemię, jakieś zmięte papiery

i kawałki szkła. Poszła do dozorczy. Brodaty starzec wzruszył ramionami.

– Hę, hę, hę... – powtarzał.

Wreszcie pokiwał głową.

– Już dawno mówiłem w gminie... Popijać tu przychodzą... Wczoraj też dwóch było... Wypili, uderzyło im do głowy i do bicia się zabrali... Jeden drugiego popchnął i przewalili...

Dziewczyna dokładnie zrelacjonowała matce historię cmentarnego zdarzenia. Ale matki wcale to nie przekonało. Nadal te wielkie, przerażone oczy, i niepokoi ją głośniejszy tupot na schodach, głosy i śmiechy dobiegające z ulicy. Podchodzi do okna, nieznacznie odsuwa zasłonę i patrzy, patrzy. Minęło parę dni i w sobotnie popołudnie wróciła matka ze sklepu, zdyszana i spocona. Całą drogę biegła.

– Podpalili!

– Co? – zdziwiła się dziewczyna.

– Synagogę – wyszeptała matka.

Tak stały, patrząc na siebie. Stara, siwa kobieta. I ta druga, młoda, ładna, o chłodnej, zamkniętej twarzy.

Pierwszą myślą dziewczyny, architekta przecież, była obawa o tę cudowną renesansową budowlę, gdzie nauczał rabin i mędrzec Mojżesz Isserles.

A potem strach, irracjonalny strach przekazywany z pokolenia na pokolenie, chwycił ją

za gardło. Choć równocześnie rozsądek podpowiadał, że to histeria i przerażenie matki, bo w jej stanie nerwowym jedno przecież słowo gdzieś posłyszane i przekręcone starczy, by wywołać ciąg przypomnień z tragicznej apokalipsy narodu.

Biegła dziewczyna ulicami. Puste ulice, ładny wieczór, dużo gwiazd na niebie. Oddychała nosem, poszukując zapachu dymu. Spoglądała w niebo ponad domami, wypatrując czarnego kopcia.

Ta synagoga jak zwałista forteca. Była nienaruszona. W jej ciemnym, mistycznym wnętrzu siedziały trzy stare, grube kobiety, kiwając się modlitewnie.

Przybycie dziewczyny przyjęły z dużym zainteresowaniem.

– Dlaczego tak biegła? – zapytała jedna z nich.

A dowiedziawszy się o jej powodzie przybycia tutaj, trzy stare kobiety wybuchły przerażonym, wieloznacznym jazgotem, pełnym egzaltacji i trzepotu rąk.

– Jaki pożar, oj, pożar, straszna rzecz, gdzie się pali, tu się pali... – ich cienie na ścianach poruszały się miękko, ptasimi skrzydłami. – Okropne, dlaczego, kto to zrobił, ale przecież nie pali się, a może się pali – rozejrzały się po grubych, zdobnych w płaskorzeźby murach,

patrzyły z trwogą w pobłyskujące kolorowymi szybkami okna. – Chyba nie pali się, nie widać, a może tego nie można widzieć... – znów się rozejrzały. – Nie ma ognia bez dymu przecież – zauważyła jedna głosem pełnym zadumy.

Zamilkły, pograżając się w modlitewnym kiwaniu. Jednak matka tej dziewczyny ciągle jest niespokojna. Zachorowała, kłopoty z ciśnieniem i stan nerwowy bardzo zły.

Za trzy tygodnie ma jechać do Kolonii jako świadek w procesie hitlerowskich zbrodniarzy z obozu śmierci.

Wrócił stamtąd stary szewc z rynku. Też świadek. Odwiedził matkę. Chwalił sobie ten wyjazd do sądu dalekiego. Bardzo sprawnie wszystko zorganizowali. Taksówką można jechać do Warszawy po wizę. Taksówką jechać. Wszystko zwracają. Sam jechał pociągiem, ale policzył jak za taksówkę. Za straty spowodowane przerwą w pracy też tamten sąd płaci.

Tak opowiadał stary szewc, śmiesznie i pogodnie.

– I jeszcze może szanowna pani doktorowa powiedzieć – objaśnił – że córeczka na lęk przestrzeni cierpi...

– Lęk przestrzeni? – nie zrozumiała matka dziewczyny.

– A tak, lęk przestrzeni – powtórzył szewc. – Taka choroba się zdarza... Musi pani pielęg-

niarkę wziąć do córki pod swoją nieobecność. I za to też zapłacą.

Wtedy po raz pierwszy w tych niedobrych dniach roześmiała się matka tej dziewczyny. Obie się śmiały. Szewc też się ucieszył.

Ta dziewczyna, architekt, w tym roku po raz pierwszy obchodziła żydowski Sądny Dzień – Jom Kippur. Pościła razem z matką.

– Żeby jej sprawić przyjemność – powiedziała swojemu narzeczonemu, rajdowcowi z kadry, barczystemu mężczyźnie o jasnych, krótko obciętych włosach. – I jeszcze z innego powodu... Tak jakoś.

Wtedy on właśnie zauważył, że jego dziewczyna ma na szyi zawieszoną gwiazdę Dawida wyciętą z twardej blachy, złociście błyszczącą. Ale nic nie powiedział. Choć nie bardzo rozeznanym w komplikacjach życia, zrozumiał, zrozumiał ten post w Jom Kippur i tę gwiazdę sześcioramienną na jej szyi.

– Jak dziś przyszli na nasze zebranie partyjne – mówi drukarz Trzebiak – te instruktorki z dzielnicy i zaczęły stosować mowę o podwyżce, że to dobre i potrzebne, że za dużo mięcha żremy, jakieś wyliczenia, co było przed wojną, a co teraz, to ledwo tego narwańca Sobolew-

„Mówią ludzie: PODOBNO tam na Dworze nowe układy sił. Boss Pierwszy zachwiany. Za bardzo kostyczny, za duży z niego despota... Z duchem czasu nie idzie. Nie chce dać żadnego rozluźnienia. A rozluźnienie u różnych naszych sąsiadów w bloku jednak następuje... Wyraźnie następuje... A on, Boss Pierwszy, tego nie chce... I krzyczy... Nie lubi żadnego nowinkarstwa... I pisarzy, w ogóle inteligencji... Kompleks już taki ma... Sam raczej prosty człowiek, tym bardziej tacy mózgowcy go drażnią. Czuje chyba, że ich tą swoją partyjną, sloganową gadaniną nie przekona... To i nie wdaje się w dyskusje, tylko opieprza i sprawy administracyjnie załatwia... Taka jest linia partii i koniec... ”.

fragment książki